CENA 30 gr.

BŁYSKAWICA

CENA 30 gr.

ORGAN UCZENNIC I UCZNIÓW KOMUNAL. GIMNAZJUM KOED.

W ROŹDZIENIU (GÓRNY ŚLĄSK) — WYCHODZI CO MIESIĄC.

PRENUMERATA	Adres Redakcji i Administracji:	CENY OGŁOSZEŃ:
roczna: . . . . 3 zł.	Roździeń, p Szopienice	Cała strona — 20 zł.
półroczna . . . 1·50	ul 11 Listopada, Gimnazjum	pół strony — 10 zł.
kwartalna . . . 0·90		ćwiartka — 5 zł.

Nr. 2 Roździeń, październik 1929 r. Rok I.



NASZE GIMNAZJUM

PRZEWIELEBNEMU KSIĘDZU DYREKTOROWI

WIKTOROWI SIWKOWI

składamy tą drogą na dzień 17. października b r. najserdeczniejsze życzenia z okazji Imienin od całej młodzieży naszego Zakładu jako wyraz szczerej wdzięczności, czci i hołdu.

REDAKCJA

Nasze środowisko.

Szare, spowite kurzem i dymem miasto, poprzecinane jednostajnemi, przeważnie pustemi ulicami — to Szopienice - Roździeń, dwie nazwy — jedna osada.

Idąc ulicą dalej napotyka się niewielki most, przerzucony przez niezdrowe wody Rawy, która uwięziona w beznadziejnie w twardych ścianach wału, zda się oddzielać miasto od spokojnego stosunkowo zakątka, jakim jest nasza dzielnica.

Wśród licznych, bliźniaczych domów, zarysowuje się nieco wyraźniej budynek skromny, rozbrzmiewający młodzieńczemi głosami. Jest to dom wiedzy — szkoła nasza.

Takie w nim wszystko proste, niewyszukane, a jednocześnie takie drogie i miłe. Wchodząc w mury szkolne, mimowoli uczuwa się zadowolenie pewne, że jeszcze jest tu dla mnie miejsce, że mogę zaliczać się do grona tych szczęśliwców.

Gdy wychodzimy ze szkoły, oczy nasze uderza jednostajny i zawsze ten sam widok. Kilka zbłąkanych drzew, o żółto—zielonych resztkach liści, pragnie zda się, przysłonić splamiony dymami fabryk i kopalń błękit nieba. Nieco dalej mieniąca się różnemi kolorami Rawa, szpeci i tak niewesołe miasto.

Jesień powleka wszystko jednostajnością i nudą, ale gdy czas wiosny nadejdzie, wtedy wszystko uśmiecha się do przechodnia, rozjaśnione wesołemi promieniami słońca; powietrze tchnie zapachem kwiatów i wtedy nie widzi się ani braków, ani ujemnych stron naszego miasta.

Wczesnym rankiem pustkami świecą ulice; tylko na chwilę rozjaśniają się, by znowu zamilkąć do godziny popołudniowej. — To młodzież szkolna, śpiesząca do szkoły, weselem oblicza rozjaśnia szarzyznę miejską. I codziennie można widzieć gromadkę młodzieży zdążającą z dworca do szkoły i ze szkoły na dworzec.

Duża część młodzieży naszego Gimnazjum jest przyjezdna. Ani trudy drogi, ani niedogodna komunikacja nie zdołają odwieść, ani przeszkodzić w powziętym zamiarze. Wytrwałość dziwna, dzielność nie wiadomo skąd wzięta przej[illegible]a się w oczach młodzieży pragnącej piąć się wyżej, pragnącej ujrzeć jak największy krąg świata. Mimowo-

li nasuwa się myśl: jak silnie jest kochaną ta szkoła, jakąż moc musi ona posiadać, skoro bez względu na trudy i niewygodę spowodowaną czy to niedogodną jazdą pociągami, czy też srogością zimy, upałem lata, czy kaprysami jesieni, spieszą z zaparciem się samego siebie do tej świątyni wiedzy, aby wytrwałą pracą utorować sobie drogę do dalszych światów. A praca to niełatwa; wśród dusznego powietrza ugniatającego nieznośnie piersi, wśród stuków i wrzasków ulicznych praca wre ze zdwojoną siłą.

Zapał jest jednak wielki, który potrafi zagłuszyć słabsze głosy. Tak ciężko i trudno wspinać się na szczeble stanowisk społecznych, ale gdy idziemy wytrwale i uparcie w jednym kierunku, to wreszcie dojdziemy do upragnionego celu.

C. Paluchówna
kl. VII-ma.

SZKOŁA JAKO CZYNNIK WYCHOWANIA OBYWATELSKIEGO.

Najważniejszym czynnikiem wychowania obywatelskiego jest przedewszystkiem dom. Gdyby jednakże tylko domowi tę sprawę pozostawiono, nie zawsze sprosta on zadaniu

Drugą drogą jest szkoła, która kroczy w kierunku wychowania swych uczenic i uczniów na dobrych obywateli. Szkoła jest częścią struktury życia społeczeństwa. Błędnem jest mniemanie, że szkoła jest tylko instytucją która przygotowuje do życia. Ona sama jest przejawem życia. Jak postępują dzieci w życiu szkolnem, tak postępować będą w życiu społecznem.

Wten sposób przyczynić się mogą do dobrobytu społeczeństwa otrzymując jednocześnie korzyści dla siebie. Ludzie uczą się przez doświadczenie.

Wszystkie zasady życia społecznego, odbywającego się nazewnątrz szkoły, można znaleźć w samej szkole.

I tam zgrupowała się pewna liczba ludzi, posiadających różne cele i zamiary, których łączy jednakże wspólność niektórych interesów.

Są tu dzieci pochodzące z różnych warstw społecznych, wszystkie na tych samych prawach i mające w równym stopniu możność wykazania przez pracę swej wartości oraz wyróżnienia się z pośród swych koleżanek względnie kolegów.

W szkole uczeń widzi potrzebę wytwórczości i pracy celowej, uczy się podziału pracy oraz wspólnego wysiłku pod kierownictwem nauczycieli dla wspólnego dobra.

Tu widzi potrzebę jednolitej organizacji i kierownictwa w celu osiągnięcia największych korzyści.

Tu na każdym członku szkoły leży pewna odpowiedzialność za pomyślność wszystkich. Niepowodzenie lub krzywda doznana dotyka nietylko jego samego, lecz może również zamącić harmonję i pomyślność wszystkich.

W szkole wyrabiają się charaktery, które mogą mieć tak dodatni, jak i ujemny wpływ na życie społeczne.

N. Łykowska.
ucz. kl. VII.

STRACH MA WIELKIE OCZY!

Stacja Jastrząbka żegnała gości. . .

Skończył się urlop i trzeba było powracać do pełnej gwaru Warszawy.

Zacna rodzinka Grubasiewiczów, żegnała właśnie swego najdroższego kuzynka, pana Wincentego, z pracowitości, wiedzy i zasług cenionego w familji, urzędnika — nastej kategorji w P. K U. – Bądź zdrów i trzymaj się wiatru ! — rzekł pan Grubasiewicz, u którego ręki zawisła jedna połowa rodzeństwa, u drugiej — reszta.

— Po drodze daj do reperacji moją „spluwę“ bo mi się zacina psia kość; co będzie kosztowało — zapłacę.

Pan Wincenty, człek skromny i porządny, zarumienił się na myśl o „spluwie“. Jeszcze mi wystrzeli w drodze — pomyślał albo lada rewi ja znajdą, powiedzą że bolszewik i zredukują z P. K U

— Ale wolałbym nie ryzykować . . . — rzekł. Pozwolenia nie mam . . . zaaresztują albo co . . .

— Ee ! Głupiś chłopie. Zapakuję ci, bierz śmiało Poczem, nie zważając na zakłopotaną minę kuzynka, pobiegł do bufetu, by zapakować „spluwę“. Tłum kołysał się i spoglądał w stronę nadchodzącego pociągu Już zdala widać było dwoje oczu lokomotywy, pędzącej z astmatycznem sapaniem i hałasem uderzających w szyny kół i potrącanych wzajemnie buforów. Wśród ogólnego „do widzenia“, „wkrótce zobaczymy się“, „ukłony dla“ . . . i t d., wjechała na stację wielka maszyna, ciągnąc za sobą szereg natłoczonych wagonów. Państwo Grubasiewicze przemocą prawie wepchnęli bezradnego pana Wincentego do pierwszego lepszego wagonu. Lokomotywa świsnęła i ruszyła. Pan Wincenty nie mógł sobie przypomnieć, czy Grubasiewicz wręczył mu „spluwę“, ale zdawało mu się, że włożył do ręcznej walizki . . . O sprawdzeniu nie można było myśleć wobec wielkiego natłoku. Więcej mi nie brakuje — pomyślał — tylko, żeby mnie kto o coś nie posądził . . . Na nieszczęście dwaj pasażerowie, stojący tuż obok pana Wincentego, wszczęli między sobą kłótnię o zwykłe „proszę się nie pchać“ — Boże — pomyślał pan Wincenty — tu będzie mój koniec Pobiją się — i — „gdzie dwóch się bije, tam trzeci świadek“! Powiodą mnie do komisarjatu, znajdą rewolwer bez pozwolenia . . . Łzy stanęły w oczach urzędnika — nastej kategorji.

— Panowie — odezwał się do zawadjaków — przecież to nie kulturalnie tak . . . Nikt pana o to nie pyta, rzekł jeden z nich gromiąc go zarazem piorunującem wejrzeniem. Gdyby pana tak dotknął, tobyś pan też nic nie mówił, co? — rzekł przysuwając się do pana Wincentego.

— Jestem stracony, teraz się do mnie biorą, — przeraził się biedny „świadek“ i chcąc odwrócić od siebie uwagę udawał nieutralnego i czemprędzej począł się tłoczyć do wnętrza wagonu

— Acha! tak — zawołał tamten z szyderczym uśmiechem — takiś pan mądry i kulturalny, a teraz czmychasz, jak zając Pan Wincenty z bijącem sercem przedostał się do wagonu. Mimo to niepokój wciąż go dręczył. Po jakiego djabła wdałem się w tę awanturę. Teraz zapewne zmówili się i kto wie, co mnie czeka na dworcu ! . . .

Złamany na duszy na prędce przypomniał sobie modlitwę, którą na wszelki wypadek powtarzał ze czcią, chociaż pobożnym nie był. Gdy wreszcie pociąg zatrzymał się na dworcu w Warszawie, pan Wincenty, aby uniknąć powtórnego spotkania się z zawadjakami, począł tłoczyć się do wyjścia, pomagając sobie wszystkiemi częściami ciała

— Co się pan tak pcha, kiedy tędy jest wyjście ! — ktoś krzyknął.

— Nic . . . wolę wyjść tamtędy . . . — odrzekł . Tak, tak, znamy się — sztuczny tłok — odezwała się jakaś kobiecina z nosem na kwintę . . .

Pan Wincenty nic nie rzekł. Bo jakżeż można wyrzec coś drżącemi usty i . . . „ściśniętem sercem“. Na nieszczęście zobaczył jednego z poważnionych pasażerów

— Ach ! jęknął — tamci się teraz na mnie rzucą, a ci przyklasną, żem kieszonkowy złodziej ! — Postanowił się zrehabilitować póki czas !

— Słowo panu najszczersze daję — rzekł pan Wincenty do najbliższego pchającego się — że żyję z pensji i na wszystko mi wystarcza, chwalić Boga Chyba mi pan wierzy . . . Powiedział to tak głośno, by wszyscy słyszeli. Pasażer uśmiechnął się.

Wreszcie wydostał się na miasto. Po godzinnem wyczekiwaniu na przystanku przedostał się do tramwaju. Ostrożnie, by rewolwer przypadkiem nie wystrzelił, umieścił walizkę pod ławką i czekał. Nadszedł konduktor nawołujący „panowie proszę się posuwać naprzód !“ Spojrzał z podełba pod ławkę, potem na pana Wincentego i rzekł: „Co to jest tam pod ławką? ! . . . Walizka . . . Panie — wybuchnął prawie z płaczem nieszczęśliwiec lecz pohamował się i szeptem, tuż pod uchem konduktora wyrzekł: — Więc pan wie ? . . . Ach ! niech-

że pan się zlituje . . . Jestem skromnym urzędnikiem . . .To nas absolutnie nie obchodzi — skromny nieskromny — każdy musi płacić ! Proszę za dwa bilety ! Pan Wincenty zapłacił sądząc, że drugi bilet będzie najzwyklejszą dyskretną łapówką

— Naprzeciw siedzący pasażer, tak dziwnie coś zerka w moją stronę. Pewnie i ten coś podejrzewa Może to tajny agent. I dla pozbawienia sąsiada jakiegokolwiek podejrzenia wszczął rozmowę:

Polityka to obrzydliwa rzecz Ja osobiście nigdy się do polityki nie wtrącam i żyję bardzo skromnie, a jest mi z tem dobrze. — Sąsiad kiwnął głową, przyjrzał się nieznajomemu. — Przygląda mi się. . . Po co zacząłem mówić o polityce. I dla zatuszowania dodał: właściwie prawdę powiedziawszy — jestem patrjotą i dlatego nie znoszę partyjnych agitacji. Spojrzał na sąsiada a ten wytrzeszczywszy oczy zmierzył pana Wincentego przeciągle wzrokiem i nic nie odpowiedział.

Źle jest — zadrżał nasz nieszczęśliwiec. Czemprędzej wstał, wyjął nieznacznie z pod ławki walizkę i począł oddalać się do wyjścia. Tuż przed przystankiem obejrzał się za nim stał „tajny agent".

Pan wysiada ? — ozwał się z nienacka.

— Boże ! przepadłem ! Zgubiony jestem !

Jednym susem wyskoczył w biegu i kłusem biegł przez ulice, co tchu do domu, nie oglądając się nawet. Dziwiło go tylko to, że „agent" nie strzela. Wreszcie dopadł bramy Po schodach skakał jak wiewiórka i otworzywszy drzwi, padł na łóżko nieprzytomny znękany urzędnik — nastej kategorji P. K. U

A o tej samej porze pan Grubasiewicz uderzając potężną piąstką w stół, perorował: Djadli nadali tego Wincentego ! Dureń jeden ! Miał mi wziąć „spluwę" do Warszawy i z pośpiechu zapomniałem mu ją podać. Istny warjat ! ! .

Eug. Krzywańska.
kl V.I.

JESIEŃ.

Minęło lato pierzchły marzeń roje,
Zamilkło ptaszę zwiędły liście brzóz —
Znowu się zaczną dawne prace znoje
Znikły i dla nas dobre czasy już. —

Hej ! wy młodzieńcze lata wśród swobody,
Ile chwil błogich zamyka się w was !
A ile marzeń szczęścia i pogody,
Drogi młodzieńczy przynosi nam czas ! —

Nadeszła jesień, przeszły dni radości.
Och, jakże słodkie wspomnienia tych dni,
O młodości ! ty cudna młodości,
Ile uroków taisz w sobie ty ! —

„Blondynka"

SAMOTNOŚĆ

Czasem gdy w melancholji tonie.
Pokoik mój gdzie smutna trwam,
Na małym, cichym patefonie
Gram sobie, jedną piosnkę gram . . .

Pamiętasz ją. — O! tak zapewnie
Zapomnieć jej nie mogłaś, wszak
I nieraz dźwięki moje rzewnie,
Z przeszłości rzuca tęskny znak . . .

Drży „czajki" pieśń upojna cicha,
Jak echo owych szczęścia chwil,
To śmiechem to pieszczotą wzdycha,
To jako smętny płynie Nil . . .

„Kocham Cię" wszak pamiętasz
Kiedy nuciłaś piosnki te ?
Próżno w niepamięć przeszłość pętasz
Tej piosnki nie zapomnisz nie! . .

Skroń chylę żalu mgłą spowitą
W myśli się plącze wspomnień tok —
Za lekko wirującą płytą
Się beznadziejny ślepy wzrok . . .

I marzeń mych lot niedościgły
Szybuje w dni minionych świt,
Aż nerwy dreszczem szarpną — igły
Na dokończonej płycie zgrzyt.

M. Dąbrowska
(kl. V.)

WSZYSTKO MI JEDNO.

Co mnie czeka ? ja nie wiem, nie wiem, dokąd płynę,
Gna mnie przeznaczeń siła ślepa i bezwiedna —
Za mną przebyte drogi, przedemną dale sine
Płynę lecz gdzie ? — Wszystko mi jedno !

Kochałam, przecierpiałam swoje lata młode
Sny niewyśnione jak mimozy bledną
Gdy je przekwitłe rzuciłam na wodę
Zginęły marnie — lecz wszystko mi jedno !

Brzegi już za mną, kwiatów brak mi w dłoni
Mgły nieprzebyte przedemną nie rzedną
I niema dla mnie lądu na życia mego toni
Płynę, lecz dokąd ? — Wszystko mi jedno !

TEEMES
kl. VII.

PRZYPISEK REDAKCJI: Wiersz ten zamieszczamy z pewnem zastrzeżeniem jako przestrogę, że w podobne nastroje nikt z młodych wpadać nie powinien.

PODRÓŻ KARLIKA DO RAWY.

Roz godo tak Jacek do swoigo przyjaciela,
„Wies Karlik, jo elwer, ty chnet, bo roboty nie wiela
pudymy na wanderszaft oba,
Wlezies do becki, jo cie pocisna, zgoda ?
I tak pojadymy przez cały świat,
a ludzie nom dadzą piniądze, jak śmat".
„Dobrze picrzynie, wto taki mądry, jak ty"
i wloz do becki a tyn go zaś pchnył,
A becka sie kulo, jak koło obraco —
„O moja głowa" tam driny on płace.
„Jo myślol, że tak fajn sie pojedzie w becce,
Koziołki stawiać mi sie teroz niechce".

I woło przez dziurka: „Halt ! stój!
stajzes ty kolega mój" — —
Ale ta becka spokojnie sie obracała
tak długo aż do Rawy tukicj nom wleciuła.

M. Smoleniówna

H Jęczmykówna

UPIORNE OCZY.

NOWELA

Stał jak upiór w mroku nocy, opleciony dzikim powojem i żywopłotem — zmurszały w swych szczątkach zamek Otoczony parkiem — dziko zarośniętym zdawał się być jakimś świętym, prastarym chramem przodków, a jednocześnie siedliskiem złowieszczych puszczyków, sów i nietoperzy, które często zrywały się z swych gniazd, łopocząc skrzydłami, zlatywały na starą basztę i tam odprawiały swe wrzaskliwe rozhowory.

Szerokiemi ramionami drzew rozwiniętych i powikłanych roztaczał park sieci nieprzebyte broniąc wstępu do zamku, a w cieniach ukrywał zielone oko stawu, okolone szuwarami i sitowiem.

Noc otulona w czarne mgły spłynęła na świat cały. Jakiś ostry jęk rozdarł ciemnię nocy. Wicher zaswistał złowrogo, a bolesną skargą wstrząsnęły się drzewa; dzika namiętność wichru gnie ku ziemi ich dumne czoła, szarpie wyniosłe konary, niesie echa rozpaczy i bólu, – pełne zawodzenia jęki, to znów łkania rzewne. Na tle ołowianych chmur rysowały się kontury zamku przybierając fantastyczne kształty

Milczącym był teraz – minęły czasy, gdy wrzało w nim życie, pełne uciech i książęcego przepychu.

Krążyły wieści, że córkę pana pokochał pewien muzułmanin. Znosił on pyszne wschodnie makaty, przetykane srebrem i złotem, drogie kamienie, lśniące jak tęcza, a nawet przypędził tabun swych dzikich rumaków, byle tylko zyskać względy pana zamku, lecz ten nie zezwolił, aby córka jego dzieliła życie z człowiekiem o dzikich i despotycznych porywach. Mściwy i okrutny muzułmanin postanowił uprowadzić piękną dziewicę, toteż pewnego dnia rozegrała się straszna tragedja, której świadkiem były wielowiekowe mury. Biesiadowano wówczas gdy rozbestwiona dzicz wpadła, niszcząc wszystko; próżne były błagania kobiet, pastwiono się na bezbronnych — bez litości. Jednych pozabijano wśród okropnych męczarni, drugich uprowadzono w jasyr. Pan zamku — siwy, jak gołąb kasztelan padł martwy ugodzony kindżałem

Krzyk, zgiełk, tumult odbijał się o węgły murów i konary drzew, niknąc w przestrzeni żałosnem echem

Zwierzęca horda po krwawym chrzcie podpaliła stos. Snop krwawych iskier i języków coraz chciwiej zagarniał w swe ramiona zamek, gorejący jak pochodnia

Śmiały się dziko triumfem oczy muzułmanina — ha ! przecież zemścił się okrutnie. Nasyciwszy się widokiem krwi i zgliszcz, jak nietoperze przepadli gdzieś w czarnej, jak kir, nocy.

Odtąd pustka i złowróżbna cisza zapanowała tu jak w grobowcu. Nie zalśniły tu nigdy w komnatach złote pająki i kandelabry. nie rozkwiliła się pieśń żadną nutą. Życie zamarło, pozostawiając legendę złotych czasów Stargane struny drgnęły i zamarły gdzieś, jak pozgonny dzwon. Wiatr jeno gwarzył, ciągnąc żałobny kondukt zwiędłych liści, z jękiem strzaskanych drzew na ziemię, która jako ten trup zastygły leżała na katafalku dawnej krasy. Nad popiołami grobowców odwiecznych po gruzach przeszłości dalekiej snuły się wyblakłe mary, wsłuchując się w szczęki broni i pełną grozy i niezastygłej krwi skargę C. d. n.

ZE SPORTU.

NIEBEZPIECZNE ZAKRĘTY.

Pomiędzy słowem, narzędziem ludzkiej myśli. a pojęciem, jakie w mózgu się rodzi, lub przez jakie na usta zostaje przywołane — istnieje związek ścisły. Nie raz jednak, gdy spojrzeć w perspektywę dziejową, okazuje się, że słowa się zmieniały, podczas gdy rzecz sama trwała wciąż jednaka, lub też że temu słowu w umyśle ludzkim, odpowiadały rzeczy w różnych epokach różne. Jeśli się zwrucimy do sfery cielesnej, spostrzeżemy, że takie naprzykład „camping„ lub „focting“ w niczem się nie zmieniły od czasów, gdy nazwano je po polsku a też nieznacznym bardzo uległy przeobrażeniom od owych odległych chwil, gdy będąc już uprawiane gorliwie w ludzkiej, względnie małoludzkiej mowie odpowiednika jeszcze wogóle nie posiadały Odwrotnie, określenie „sport“ od stu lat i więcej używane, stosowano, bez zmieniania go, do mowy wręcz płynnej, kameleonicznie mieniącej się w barwach Najsamprzód „sport“a to były: łowiectwo, jazda konna I kropka. Nikomu by do głowy nie przyszło, uważać za „sportsmena“ plebeusza grającego w football. Dziś z miljonów których część bardzo znaczną stanowią piłkarze — na zapytanie czy myśliwstwo i hippika są „sportami“ przeolbrzymia większość odpowie „nie“ i „niekoniecznie“.

Sport zaczął od tego, by być lekkomyślnym bratem — gry i rozrywki. Gdy się głębiej nad jego istotą zastanowiono, uznano iż jest samorzutnem wyładowaniem sił, wolnem od przymusu i z radości zrodzonej. Po odróżnieniu od „pracy“ — przykrej i koniecznej. Ta dystynkcja była uważana za zasadniczą — sport za nic w świecie nie mógł być zajęciem Nie miał innego celu, jak przyjemność i ukontentowanie jednostki.

Życie jednak dotknęło szorstkiemi łapami owe rajskie dziecię. Wraz z rozrostem wszerz i wzwyż, wraz z intensyfikacją i racjonalizacją przyszły, z jednej strony - konieczność żmudnego i niekoniecznie przyjemnego treningu, z drugiej — teorje o służeniu celom odrodzenia rasy pomnożeniu wydajności życiowej. wychowawczej. pedagogicznej roli względem ciała i ducha, zadania społecznych etc. etc. W ten sposób „sport“ zaczął zaprzeczać swym dawnym określeniom: stał się zajęciem, którem nieraz nie tyle wypełnia wywczasy, ile raczej wywczasy pozostawia, stał się tym dawnym, pozbawionego celu, bezinteresownym w najgłębszym znaczeniu słowa wydatkowaniem energji, a funkcją za którą się odpowiada przed innemi, przed społeczeństwem, przed narodem, przed ludzkością, gdyż zamiast już być zabawą stał się obowiązkiem wobec ciała zbiorowego Droga od pierwotnego — indywidualistycznego pojmowania do tego drugiego — społecznego szła przez tysiące niebezpiecznych zakrętów, gdzie łatwo było . . . zboczyć z drogi zupełnie zejść na manowce I dziś sport na zakręcie niebezpiecznym. Grozi mu utożsamienie z innemi dziedzinami życia społecznego w tem, co w nich jest najlepsze A więc komercjalizacja, czyli zmiażdżenie w trybach olbrzymiej machiny ekonomicznej jego idealistycznych pierwiastków, a więc politykarstwo czyli chęć zniekształcenia, przerabiania i niweczenia przy zielonym stoliku, drogą obietnic, ustępstw, kompromisów, awansów zaszachowań i zaszachrowań rezultatów walki na zielonej murawie Dziś trzeba szczególniej uważać. Wśród głosów, które się rozlegają z powodu ostatnich wydarzeń w sporcie polskim, z powodu Nurmiego, z powodu Biegu dookoła Polski, szczególnie zaś z powodu usiłowań do unieważnienia rozrywek ligowych — wprawne ucho dostrzeże łatwo dźwięki dyssonujące jaskrawo z szlachetnemi akordami idei sportowej. Bo sport wciąż zmienny, wciąż inny, wciąż płynny, pozostawał jednak zawsze i miejmy nadzieję, że zawsze pozostanie rzeczą piękną i czystą.

Tadeusz Zgajewski

L. SZTORCHANÓWNA. kl. VI.

O ZMROKU

Miało się ku wieczorowi. Zaróżowione słońce spoczywało już za lasem, który ciemniał w dali. Złote jego promienie padając z ukosa, przedzierały się między pniami drzew i kładły się drgającemi plamami na pniach to na szarem podłożu ziemi. Mroczne sklepienie przetkały smugi różowego blasku. Tu i ówdzie bez szelestu opadały białe płatki kasztanów. Błądząc ścieżkami, zaszłam w najustronniejszy zakątek parku, miejsce mało uczęszczane a dla mnie, zwłaszcza o zachodzie słońca najulubieńsze. Pozrastane ze sobą pnie drzew dawały mnóstwo cichych zakątków w których umieszczone były ławki. Na jednej z nich usiadłam. Z całego dnia były to dla mnie chwile najmilsze, gdy siedząc samotna, mogłam się oddawać własnym myślom. Wielka cisza wieczoru i jego nieobjęte piękno działały niemal oszałamiająco. Dziwne załamania konarów lip, gęsty mrok, przerwany tu i ówdzie smugami różowych promieni i głęboki spokój sprawiały wrażenie świątyni.

Noc już zapadła zupełna. Tylko zdaleka na zachodzie jaśniała jeszcze ostatnia smuga znikającego światła. Zaczęłam się wpatrywać w to światło. Wyłaniała się z niego jakaś postać kobieca i szła . . . szła ku mnie. Stanęła przedemną otoczona aureolą.

Z pod długiego szerokiego rękawa wysunęła się chuda ręka, trzymająca pałeczkę. Skinęła nią. Szłam obok niej, gdzieś daleko przez park, przez pola, łąki, lasy. Nagle tuż przed memi oczyma jakby z ziemi wyrosły ruiny zamku. Ten zamek zawsze napawał mnie jakimś zabobonnym strachem a zarazem ciekawością. Czy ma się spełnić moje marzenie? Siedzę w pobliżu ruin na kamieniu. Niedaleko rozciąga się niebieska toń jeziora. Rozglądam się dookoła. Wszędzie panuje spokój i cisza niezmącona. Księżyc płynie po mlecznej drodze spozierając czasem na ziemię figlarnem okiem, czasem przegląda się w jeziorze.

„Ale gdzie się podziała tajemnicza zjawa? "

„Czyż zniknęła w głębinach jeziora ?" Nasunęła mi się myśl. Spokojna dotychczas tafla wody, zakołysała się i na brzeg wyskoczyła rusałka miała piękne długie włosy i śliczną małą twarzyczkę, lekka jak obłoczek wykonała jakiś dziwny taniec i zniknęła w ruinach zamku. Więc sprawdzały się te zabobonne opowiadania we wsi, że zamek jest siedzibą duchów, dziewic wodnych i wszelkiego ptactwa nocnego, tam po północy, gdy wybije godzina duchów, schodzą się na narady i słychać nieraz chichoty, dobywające się z zamku.

Nagle ukazała się „wróżka" i trzykrotnie skinęła pałeczką. Wiedziona tajemniczą siłą, weszłam do wnętrza ruin. Przeszedłszy kurytarz znalazłam się w ogromnej sali. Długi na pół złamany stół, krzesła, i duży kurantowy zegar zniszczony czasem, wskazywał, iż była to sala jadalna, niegdyś bogatego pana. Oczyma duszy widziałam stół uginający się pod naporem sreber i kryształów, tu rozlegały się wesołe okrzyki biesiadników, wznoszono toasty na cześć gospodarza, który tak gościnnie przyjmował swoich przyjaciół. A gospodarz mile uśmiechnięty na wsze strony dziękował swoim gościom. A na to wszystko spływało błogosławieństwo boże. Teraz wszystko ucichło. Ci, którzy w tym zamku byli przyjmowani, dawno ułożyli się do snu wiecznego. O ich istnieniu świadczą mogiły, na których wiatr błąka się i wyje rozpaczną pieśń śmierci, i nad któremi chmury płaczą rzęsistemi łzami. W następnej sali stał stary połamany fortepian, pod ścianami stały kanapki i krzesła, na nich siadywały czcigodne matrony i zmęczone tańcem damy. Widziałam lekkie postacie tańczących par, słyszałam subtelne tony fortepianu, a matrony kiwały dobrotliwie głowami ozdobionemi bogatemi czepeczkami. I szłam coraz głębiej w zamek. Z odleglejszych pokoi słychać było jakiś dziwny gwar. Tam to właśnie prowadziła mnie „wróżka". Gdy stanęłam na progu pokoju, chmura różnego ptactwa zerwałao się z krzykiem napełniając powietrze złowro-

giem echem, Z trwogą myślałam, kiedy się ta straszna wędrówka skończy. Naraz wszystko ucichło jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej,

Siedziałam znów na tej samej ławeczce. Czy to był sen, czy jawa ? Nie wiem do tego czasu.

JESZCZE O OBOZACH LETNICH P. W I W. F. w RYTRZE

Ćma powoli ustępuje i poczyna świtać. Słońce ociężale wschodzi, a wyzierając z za wierzchołków gór rzuca długie snopy światła na nasze namioty.

Przewracam się na drugi bok, a smacznie chrapiąc, śnię o różnych podbojach i podróżach. Nagle słyszę głos trąbki „ta — ta ta“, podniosłem głowę ciężką jak ołów, lecz jeszcze prędzej opuszczam, nie dowierzając swym uszom o pobudce. Nie trwał więcej jak 2 minuty, ten błogi sen, a tu koce na ziemi i rozlega się kanonada wyzwisk:

— A wy urwisy, próżniaki, lenie, śpiochy murgi jedne, panie, do mermelady toście pierwsi, mądrale jedni, a do zbiórki to ani jeden, a prędzej, bo po wyższą władzę poślę

Przecieram oczy, myśląc, że to halucynacja, przyglądam się, a tu sierżant Rzepka czy inny burak krzyczy i wydziwia:

— Czemu leżysz, murgo jedna, i wybałuszasz ślepie jak wół na malowane wrota?

Słychać gwizd. znak na zbiórkę, więc przywdziałem gimnastyczny strój i dalej z namiotu. Słońce jeszcze nie zdołało pochłonąć perlistej rosy, bo całe pole błyszczało, jakby pokryte rubinem. Dreszcz przebiegł mnie z zimna. Baczność ! rozległa się śpiewna komenda kaprala Dolnego; jak ty stoisz te! jak baba w prosie. Zbiórka w dwuszeregu! równaj w prawo! baczność! do modlitwy ! Rozległ się z wolna śpiew „Kiedy ranne wstają zorze“ i leciał w góry, a odbiwszy się, rozległo się echo, w ten sposób pieśń rosła olbrzymiała w bezmiar, aż zwolna i szeptem urwali, a głos jeszcze powoli zamierał gdzieś w przestrzeni.

— Za mną ! biegiem marsz !

Zimno było, więc biegłem podnosząc kolana pod brodę, i wykonywałem wszelkie ćwiczenia z godną pochwały dokładnością.

Kapral z zadowolenia, że mu to idzie składnie i szybko, gładził się po brodzie, robiąc minę, jakby wypił octu od siedmiu złodziei.

— Baczność ! rozejść się !

Każdy pędził do namiotu na złamanie nosa i chwytał za ręcznik, mydło i do Roztoki. Tu się dopiero, każdy trzepał, jak kaczka chlustając strumieniami wody na drugiego Takbym siedział w tej wodzie z godzinę, bo czułem się naprawdę zdrowszy, trzeźwy i pełny werwy do wszystkiego, ale rozległa się komenda: Na zbiórkę po kawę!,“ — a więc śniadanie.

Nadszedł także i czas ćwiczeń polowych, a więc wielkich poceń Każdy przywdziewał szary strój, przepasał rzemieniem, a włożywszy furażerkę. brał za karabin, maskę i łopatkę, a obładowany, jak stara dorożka dążył na plac zbiórek. Za parę minut stał batalion pod masztem, jak wryty w ziemię. Nadjeżdżał komendant grupy p. P.

— Baczność ! na ramię broń! prezentuj broń ! na prawo patrz! — rozległ się twardy i świszczący głos por. P. i później raport Major przejeżdżał na bułanym koniu wzdłuż szeregów i orlim wzrokiem obserwował każdego strzelca i zwracał uwagę na najmniejszą niedokładność, a wróciwszy na środek przywitał nas. —

— Dzień dobry panie majorze — huknęło 500 śpiewnych głosów, echo powtórzyło je w oddali i zamilkło.

Rozpoczęły się ćwiczenia normalnym trybem. Słońce poczyna mile przygrzewać, a czoła perlą się od potu, a każdy pracuje wytrwale, chcąc poznać sztukę obrony, atakowania i otaczania przeciwnika w terenie przy pomocy niewidocznych posunięć, bo

wie, że w ten sposób najwięcej przysłuży się swojej ojczyźnie. Dużą część ćwiczeń zajmują lekcje szermierki i strzelania.

Na godzinę 11 przypada solidny obiad, składający się z kartoflanki, lub rosołu, sztuki mięsa, kaszy, grochu, ryżu i t. p. Smak wzmógł się wielki, a to pod wpływem ćwiczeń i górskiego powietrza, więc też niejeden wypróżniwszy pospiesznie menażkę, szalonem tempem dążył powtórnie do kucharza, stąd też urobiła się zaszczytna nazwa, na którą nie awansowałem, „repeciarzy". W przerwie obiadowej, urządzałem kąpiel, lub też marsz w góry na maliny.

Popołudniową porę poświęcaliśmy na gry i zabawy sportowe, oraz wykłady o górach, wogóle z dziedziny wojskowości.

I każ tu panowała radość, każdy biegał, jak młody źrebak i kąpał się w gorących potokach promieni słonecznych. Wokół huczało od wrzasku ciemno skórych nagolców, a wszędzie panował humor i radość, i miło było spoglądnąć na nasze pogodne, bez jednej chmurki czoła i iskrzące, jak diamenty oczy. Tu jeden przed drugim pokazywał swoją zręczność i spryt i nie jeden natężał swe mięśnie, aby dorównać koledze, więc ćwiczył bez wytchnienia, aż dopiął celu, mięśnie stały się jak bicz, zdolne do wykonywania najtrudniejszych ćwiczeń, rzutów i biegów.

O chorobie nikt nie myślał lękając się dowcipnego lekarza, u którego istniały tylko dwa lekarstwa, rycynus lub zapisanie recepty w książce meldundowej. „zdolny do ukarania za lenistwo" i na tem się skończyła wizyta.

Nadszedł wieczór, biegliśmy do miasta na wyścigi, jedni za sprawunkami, a większość do „kuzynek" przed któremi wylewali swoje żale i bóle, to też nie jeden wskutek rozczulenia, zapominając się wracał za późno, a za to tylko dwie godziny pod karabinem na baczność. O godzinie 9 tej apel i modlitwa

Po rosie płynie z rozwiniętych piersi potężny i czysty głos i budzi ukojone wieczorną ciszą góry i lasy „Pod Twą obronę". Naraz z cicha rozległ się żałosny głos trąbki, wszystko leżało w łóżkach i zapanowała grobowa cisza, a to ze względu na oficera inspekcyjnego, który przechodził po namiotach sprawdzając stan obecnych. Po ukończeniu wizytacji, rozpoczęła się rozmowa na różne tematy, ale przeważnie opowiadano wice, a co chwila wyrywała się burza śmiechów, którą starano się stłumić przez nakrycie się kocami.

Srebrna tarcza posuwając się po ugwieżdżonem firmamencie kryła się co chwila poza chmurki i rzucała słabe blaski na ten padoł ziemski. Strumyk szumiąc rwał szybko unosząc z sobą głazy A ciszę, jaka panowała w rejonie przerywały umiarowe kroki wartowników, a co chwila zrywał się wiatr i dmuchał ze świstem w szpary namiotów, smagając znużone, ciemne oblicza przyszłych, nieustraszonych obrońców ojczyzny. Tak się kończył dzień pracy, która przynosiła podwójną korzyść, mianowicie wyrabiała tężyznę fizyczną, karność i przygotowała wyszkolonego żołnierza, którego ważność oszacuje każdy Polak mający w pamięci wypadek ostatnich lat kilkanastu.

Przygotowując się w ten sposób potrafimy obronić się od niebezpieczeństwa, jakie grozi Ojczyźnie naszej od sąsiadów domagających się rewizji naszych granic okupionych krwią, a wytyczonych bagnetem.

S. Bentkowski.

TO I OWO

Minęły już nasze ukochane wakacji, a rozpoczęła się nauka Dwa miesiące wakacji, to bardzo mało. Mój kolega twierdzi, że tutaj musiała zajść jakaś pomyłka, sądzi bowiem, że wakacje powinny trwać 10 miesięcy, a nauka 2 miesiące Ale trudno, nie można uwględniać wszystkich chrześcijańskich życzeń, bo wkrótce jedni by chcieli założyć w szkole kasyno, inni palarnię itp

Tymczasem trzeba wstawać o w pół do szóstej, bo inaczej spóźnisz się na pociąg. Pan maszynista jest człowiekiem źle wychowanym, ponieważ nie chce wcale czekać. Lekcje toczą się zwykłym trybem. Łacina

przysparza dużo kłopotu, można wcale prędko zostać osiołkiem. Nie wiem wogóle po co np. Liwjusz pisał te dzieje Rzymu. chyba na to, żeby nie mieć częs o słówek, lub głowić nad tłumaczeniem. Niech mu to Pan Bóg wybaczy, bo ja to się waham Matematyka obfituje bardzo w „N", jak dalej tak pójdzie to dostaniemy na wynik następujące równanie: Kl. VII równa się N. Będzie o tyle niezwykłe równanie, że będzie miało aż 32 pierwiastki. Od wszystkich związków i pierwiastków chemicznych można dostać kataru. Podczas lekcji stale czuć zapach ozonu, musimy mieć jakieś otwory w głowach. Jednem słowem od związków i pierwiastków chemicznych zachowaj nas Panie! Na dobitkę musimy znać dobrze epokę romantyzmu, bo w przeciwnym razie grozi nowe „n". W historji zadziwia nas talent strategiczny Napoleona, myślę jednak że w obecnej dobie Napoleon nie miałby pola do działania, gdyż teraz modny jest pacyfizm

Popierają go bezwględnie bolszewicy, o czem świadczą niezbicie braterskie walki z Chińczykami, gdzie dla chwały pacyfizmu pada kilkaset trupów dziennie. Szerzą go Arabowie grzmocąc w Palestynie żydów, a ci z wielkiej wdzięczności odwzajemniają się szczerze Niemcy dla rozpowszechniania akcji pacyfistycznej budują zeppeliny i krążowniki. Wszędzie kwitnie miłość i zgoda, nawet w naszej klasie zapomniano już o korkach.

Niedawno gazety doniosły, że Waldemaras pono ma zamiar ogłosić stolicą Litwy Roździeń, za co należałaby mu się słuszna pochwała. (Z tego że Roździeń miałby być stolicą ł - klapa, bo w ostatniej chwili dowiedziałem się że Waldemaras dostał dymisię i ma zamiar obecnie wyjechać na kuracię do Kulparkowa).

Jeden z moich kolegów miał wczoraj okropny sen. Śniło mu się bowiem, że już jest uczniem ósmej klasy i ma zdawać maturę, a tu w głowie czuł jakiś wir: nie mógł sobie ani rusz przypomnieć w którym roku urodził się Napoleon, jak się odmienia jakiś czasownik po łacinie, z matematyki czuł że nie wie nic, z chemji zapomniał tylko tytuł podręcznika, jednem słowem miał wrażenie że go spalą. Postanowił więc odebrać sobie życie. Rzucając się ze strachu, spadł z łóżka, zlany potem, zadowolony jednak, że to był tylko sen.

Kończę już moją bazgraninę, bo mógłbym jutro dostać z jakiego przedmiotu „n".

„CZARNY"

W. FRANIA kl. VII

ZNOJDZIONE KONIE

Nidowno tymu żył se w jakiś wsi jedyn żyd, wtory mioł pora koni, z wtorymi woził ludziom wągle, drzewo i inksze rzecy. Ale trefiło sie roż, że mu wtoś te konie ukrot Biedok sie zafrasowoł, niy wiedzioł z cego bydzie żył. Jakiś dobry somsiod pedzioł mu, żeby szedł do faroża i mszo do świyntego Jantonigo łobsztalowoł i może mu sie te konie ukradzone znojdom Żyd tysz tak zrobiył. Kiedy przyszet na fare, to faroż sio go spytali, co łon chce, żyd na to łodpedzioł „Panie farożicku jo chca zapłacić na mszo do świyntego Jantonigo, bo mi wtoś koniska ukrot.

Faroż zaś mu na to łodpedzieli: „Dobrze żydzie, ale ty musisz na to mszo przyjść, bo jak niy przydziesz to cie świynty Jantoni nie wysucho". A żyd na to pedzioł:„ Ja, ja, panie farożu jo już ta przyda na nia. W niedziela, jak ta mszo miała sie łodbyć był fajny dzień i żyd se zaspoł. Ale chnet sie łobudził. Prendko sie łoblik i polecioł do kościoła. Jak wlazowoł to słyszoł te słowa: „Szet Libera, nios a mało" („s e d l i b e r a n o s a m a l o"). Wtedy sie bardzo urodowoł i zaroski polecioł nazod do drugi wsi kai nijki Libera mieszkoł. I naprowda u niego znoł te konie w chlywiku zamknionte. Urodowany poszet na drugi dzień do faroża, żeby mu podzienkować. Jak przyszet, prosił go, żeby mu pokozali tego świyntego co mu te konie znoł. Faroż zawiydli go do kościoła i pokozali mu ta figura łod świyntego Jantonigo. Żyd stanoł se przed figurą zamyśloł sie i za kwila pado: „Panie farozicku, jobych se niy myśloł, żeby taki fajny pachołek sie że złodziejami łobdowoł ! ! ! . . . "

KOMUNIKAT KS. DYREKTORA DLA RODZICÓW.

W niedzielę 20. października b. r. o godzinie 11-tej przed południem odbędzie się pierwsze w bieżącym roku szkolnym zebranie Rady Rodzicielskiej.

Bezpośrednio po zebraniu, od godz. 11·30 — do 13 udzielać się będzie informacji o zachowaniu się i postępach młodzieży.

Prosi się o jak najliczniejsze przybycie Niechaj z Rodziców nie braknie nikogo, bo tylko ścisła Ich współpraca ze szkołą może wydać dobre rezultaty w wychowaniu młodzieży

KÓŁKA SZKOLNE

KÓŁKO L. O. P. P. istnieje w naszej szkole od lat dwóch i obejmuje na razie tylko klasy wyższe Opiekunem kółka jest p. prof. Kutt. Celem rozszerzenia działalności i pomnożenia wkładek wzywamy obecnie wszystkich kolegów od najstarszych do najmłodszych, by do kółka naszego przystąpili Wkładka miesięczna od 5 groszy.

KÓŁKO KOMITETU FLOTY NAR. będące członkiem czynnym Komitetu warszawskiego jako reprezentacja naszego gimnazjum, wznawia swoje prace pod kierunkiem p. prof. Kutta i prezesurą kol. naczelnego redaktora Gilla.

Kółko to odbywa co miesiąc zebrania z odczytami, propagując ideję morską państwa polskiego, oraz przyjmuje wkładki, jak kółko L. O. P. P od 5 groszy miesięcznie Zapisujcie się wszyscy!

KÓŁKA KRAJOZNAWCZE

Dnia 27 IX 1929 r. zostało wznowione „Kółko Krajoznawcze" w klasie V pod kierunkiem p. prof. dr Gołby. Prezesem została wybrana kol. Śmielewska, sekretarką kol. Łonicka. Zebrania przypadają co miesiąc, na których będą odczytywane referaty opracowane samodzielnie, lub przy pomocy książek i czasopism. Wybitniejsze prace będziemy drukować w naszem pisemku.

Analogiczne kółko klasowe powstało w klasie IV, którego prezesem wybrano kol. Żemłównę, a sekretarką kol. Nouvellównę. Za podstawę pracy wzięło sobie kółko roczniki czasopisma „Ziemia"

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Z podanych niżej sylab ułożyć wyrazy.

A, au, bar. cza, chno, fja, gra, i, ka, ko, la, li, łań, mja, no, prak, ran, ro, sal, szu, to, tuch, wa, war, yak,

Znaczenie wyrazów:

1. Piosenka gondoljerów w Wenecji.
2. Grube płótno.
3. wół tybetański.
4. rodzaj wodorostu.
5. święta księga mahometan.
6. samorząd
7. lennik
8. sztuka kreślenia planów
9. przykrycie konia
10. imię tureckie

Początkowe litery wyrazów czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie – a jakie? — zgadnijcie sami !

Ułożyły: „Blondynka" i „Szarotka"

Za najlepsze rozwiązanie powyższych zagadek, nadesłane na ręce redakcji, obmyślona została niebywała nagroda. Próbujcie więc! Korzystajcie z okazji !

Redaktor naczelny: Bolesław Gil (7 kl.)

Wydawcy: uczennice i uczniowie

Komunal Gimn. Koed. w Rożdzieniu.

Kurator odp.: Prof. dr. Kazimierz Gołba.

Nasz--Sklep Urania

Spółka Akcyjna

ODDZIAŁ w KATOWICACH:
ul. Stawowa nr. 3 tel. 5—72

ODDZIAŁ w SOSNOWCU:
ul. Warszawska nr. 8 tel 8·98 i 1·98

Pomoce naukowe i urządzenia szkolne, składy papieru i materjały piśmienne, fabryka wyrobów papierowych i zeszytów szkolnych.

PIERWSZA w KRAJU WYTWÓRNIA POMOCY NAUKOWYCH ORAZ GABINETÓW FIZYCZNYCH.

GALANTERJA

oraz

SKŁAD SUKIEN

A TUSZYŃSKA

w DĄBROWIE—GÓR.

ul Sobieskiego 29

Poleca na składzie suknie według najnowszych fasonów z najlepszych materjałów jak również przyjmuje zamówienia na wszelkie roboty w zakres krawieczyzny damskiej wchodzące.

Wykonuje również
MUNDURKI SZKOLNE
Pracownia ul. Krótka 5.

DROGERJA POD ANIOŁEM

J. CHMIELEWSKI

ROŹDZIEŃ—SZOPIENICE

poleca

Plastelinę, atrament towary kosmetyczne i wszelkie przybory do fotografowania.

KSIĘGARNIA KATOLICKA

sp. z ogr. odp

Katowice ul. św. Jana 14

tel. 12—10

poleca podręczniki szkolne do wszystkich zakładów naukowych, książki dla młodzieży, lekturę pomocniczą oraz wszelkie przybory piśmienne po wyjątkowo niskich cenach.

N A J T A N I E J

można kupić konfekcję

DAMSKĄ i MĘSKĄ

oraz

PERFUMERJE i ZABAWKI DZIECINNE

tylko u

MIECZYSŁAWA ZIOMKA

w Dąbrowie — Górn.

Ul. 3-go Maja 16. telefon 126.

SKŁAD WIN I DELIKATESÓW

oraz

Pierwszorzędna Restauracja

ST. WILCZYŃSKI

w Dąbrowie Gór. ul. 3-go Maja 5.

Poleca: Trunki wszelkiego rodzaju jakoto: wina deserowe na flaszki i na miarę. — Wybór zakąsek ciepłych i zimnych oraz kuchnia dostosowana do wymagań najwybredniejszych smakoszy.

Z głębokim szacunkiem
ST. WILCZYŃSKI.

PRZYPOMINAMY

kolegom i koleżankom

SKLEP UCZNIOWSKI

ŚWIEŻO ZAOPATRZONY

W NAJTAŃSZY A NAJLEPSZY

NA ŚWIECIE TOWAR

Redaktor odpow. dr. Kazimierz Gołba — Drukarnia Kresowa w Krakowie.